№ 39. Warszawa, dnia 13 (25 Września) 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

I

W domu czy po za domem?

Że dziewczęta potrzebują się uczyć więcej, niż uczyły się dotąd, że wykształcenie ich powinno być głębszem i nie ograniczać się w części swej najważniejszej do języków jedynie, i tych odrobin sztuki, które pospolicie "talentami" zowią, jest już rzeczą przez wszystkich uznaną, a nawet rodzice starają się obecnie o naukę córek z pewną niespokojną zabiegliwością, z niespokojną troską w sercu, bo dziś nauka dziewcząt łączy się w umysłach rodzicielskich na inny niż dotąd sposób z myślą o przyszłości, o doli i niedoli dziewczęcia. Stosunki życia zmieniają się. Dawniej nauka kobiet była rzeczywiście tem, o co Żmichowska upomniała tak surowo Hofmanową w krytycznym rozbiorze jej pedagogicznego wpływu—była „ozdobą umysłu." Polerowała go niejako, i jak polor wszelki dawała wygładzenie powierzchni z błyskiem niejakim, który głębin nie rozświecał, ale lśnił na zewnątrz i jak zwierciadło odbijał przedmioty, w zetknięciu z nim postawione. Szczęśliwe wyjątki zdarzały się wtedy tylko, gdy natura była wyższą i wiedzy szerszej po to już chciwą, aby ją w sobie na prawdziwy, wewnętrzny ducha pożytek sama przerobić. Nauka, w wyższem tego słowa znaczeniu, nie zdawała się kobiecie potrzebną; nie przypuszczano, aby w praktyce życia zużytkowaną być mogła, i przeciwnie lękano się, aby życiu temu nie zaszkodziła, z jego obowiązkami, z przeznaczeniem kobiety do sporu nie stanęła. I był to strach poniekąd słuszny, gdy go odniesiemy nie do nauki w ogóle, ale do tego rodzaju połysku umysłowego, który, szukając sobie naturalnego zastosowania — błyszczenia — mógł poważnym obowiązkom, poważnej pracy życia szkodzić, szczególniej u osobistości żywszych jako wyobraźnia, lub samolubniejszych jako uczucie. U lepszych sercem, lub ociężalszych umysłem zacierał się on z postępem lat, więc przepadał marnie i szkoda była czasu, który na nabycie go poświęcono, szkoda było kapitału, wyłożonego nań materyalnie i moralnie. Nie starano się też bardzo o tę naukę *sui generis*, nie ubiegano się o nią chyba w klassach najwyższych, gdzie dla względów towarzyskich, dla salonu „ozdoba umysłu," była potrzebną i cechowała jako przymiot i przywilej arystokratyczny. Miała ona jedno jeszcze zastosowanie praktyczne, użytek bezpośredni, wybornie zdeterminowany przez Szujskiego [1]), była „kokieteryą umysłową." Dziewczę z tym nabytkiem, z intelligencyą migotliwie błyszczącą, stawało się powabniejszem, nęciło jednym wdziękiem więcej i w gruncie rzeczy ten-to wzgląd powodował często rodziców, aby córkom nauczycielki i nauczycieli dawano. Matki głównie myślały o tem, a biorąc rzecz w przyczynie jej pierwszej, była to troska miłości macierzyńskiej o ustalenie losu, o możliwie dobre zamążpójście córek, które stroiły w tę niepojmowaną przez siebie naukę, jak w bukiet sztucznych kwiatów, jak w sukienkę balową— w ozdobę! Lekkomyślne i powierzchownie życie biorące, główny nacisk wychowania na tę stronę rzeczy kładły; poważniejsze, głębiej w przeznaczenie człowieka wglądające, starały się zarazem o gruntowniejsze, lepsze przygotowanie dziewczęcia do powinności, zakresem obowiązków kobiety objętych. Chowano źle i dobrze, jak dzieje się i dziś, jak zawsze dziać się będzie, póki istnieć będą wyższe i niższe ludzkości ideały, ale chowano w ogóle z jedną i tą samą myślą, że młoda dziewczyna z domu rodziców przejdzie w dom mężowski, że mąż w miejsce opieki ojca i matki opiekę swoją podstawi, i główny ciężar mozołów, kosztów życia na swoich barkach poniesie. Stare panieństwo, życie samotne, było przypadłością tak wyjątkową, że ich przy ogólnem wychowaniu w rachunek nie brano, i nauka dziewczęcia wtedy nawet, gdy ją i dla kobiety zaczęto szlachetniej, wyżej pojmować, nie przedstawiała się nigdy rodzicom, jako materyalna przyszłego bytu córki podpora. Dziś przecież tak się dziać zaczyna. Przy ekonomicznej stosunków przemianie i trudniejszych istnienia warunkach, a szczególniej przy wygórowanych i zbytkowych dzisiejszego społeczeństwa potrzebach, przy potrzeb tych przez rozwój cywilizacyi materyalnej wzroście coraz większym, zastęp kobiet samotnie w życie idących mnoży się w stosunku takim, że niepokoi rodziców nie o tyle zamożnych, aby los córek swoich niezawiśle od małżeństwa, to jest od oparcia go na pracy męzkiej zapewnić mogli i myśl o zarobkowaniu kobiety, o zawodzie jej jakimś tak dziś przy planie wychowania dziewcząt przed rodzicami staje, jak to bywało dotąd dla chłopców tylko. Więc dla tych dwóch przyczyn:

1) że wyższą naukę kobiet uznano dziś za taką samą potrzebą ducha kobiecego, jak ducha męzkiego;

2) że ta nauka wyższa powinna być obecnie i dla kobiety zapasowym kapitałem życia, któryby jej pomógł radzić sobie w trudnych okolicznościach samotnego może istnienia:

rodzice zapragnęli niemal ogólnie dla córek swoich szerszego zakresu wiedzy, gruntowniejszego, głębszego wykształcenia umysłu. Przecież mimo tej zgody na zasadę często bardzo spotykają się oni przy jej wykonywaniu z trudnościami szczegółów niby drobniejszych, a jednak ważnych bardzo i poważnego namysłu wymagających, bo w wielu

[1]) *Niewiasta*, czasopismo dla kobiet, wydawane w Krakowie przez Turowskiego w latach 1860—1863 (*Przyp. Red.*).

razach kłócą się one z tem, co w wychowaniu dziewcząt uchodziło tradycyjnie za najlepsze, za zasadnicze.

Nie od dziś stanowi to kwestyę sporną: czy edukacya domowa nie jest dla dziewczęcia lepszą od edukacyi publicznej? Ale obecnie zagadnienie to niezmiernie w ważności swej urasta, bo dziś nauka o wiele więcej niż niegdyś czasu wymagająca, o tyle dłużej córkę z domu rodziców, to jest zpod wpływów matki, zpod wpływów życia rodzinnego oddala. Liczyć na to trzeba obecnie od czterech, do pięciu, sześciu lat tego wieku młodocianego, który środkując między dzieciństwem a dorosłością, stanowi właśnie o moralnym kształcie charakteru, zaczynającego się wtedy ustalać i formy trwałej, zacięcia indywidualnego nabierać. Że przecież dobra, prawdziwa nauka, na której potrzebę i ważność godzimy się wszyscy, jest przy domowem wychowaniu dla dziecka ludzi mniej zamożnych niełatwo przystępną, że wymaga ze strony rodziców ofiar wielkich: należy przeto rzecz bardzo gruntownie rozpatrzyć, bardzo się nad nią namyślić przed rozstrzygającym zagadnienie wyrokiem.

Dla mieszkańców miast troska ta nie istnieje: mogą oni łatwo urządzić naukę dziewcząt w sposób łączący korzyści obu systematów, bez ujemnych stron żadnego. Posyłają córki swe do szkoły, która według ich przekonania jest najlepszą, po godzinach nauki dziewczęta wracają do domu, pod dozór i opiekę, pod kierunek macierzyński i wszystko jest w porządku, w harmonijnym rzeczy rozwoju. To też rodziców miejskich, którzy bez okoliczności osobliwie wyjątkowych, sprzeciwiających się w sposób szczególny pobytowi dzieci w domu, córki swe na pensyonarki oddają, uważać trzeba za rodziców mało troskliwych, mało dbałych, chcących zbyć się trudów wychowania i raz pieniądze na to wyłożywszy, sprawę załatwić, nie poświęcając już jej osobistej pracy, osobistego zajęcia, nie dając jej cząstki istoty własnej. Do najcięższych zarzutów czynionych społeczeństwu francuzkiemu, rodzinnemu życiu Francyi, należą przedewszystkiem dwie rzeczy: że ogół dzieci francuzkich karmiony jest obcą, najemną piersią; że ogół dzieci francuzkich kształci się w pensyonatach, zakładach zamkniętych, że zatem nie jest wychowywanym przez matki, które w ten sposób uchylają się od najwyższego obowiązku macierzyństwa na korzyść swobody własnej: zabaw w klassach bogatych; nieszczęśliwych dla matki rodziny prac pozadomowych w klassach mniej zamożnych. Matka w mieście mieszkająca dla tej tylko przyczyny może się z córką swą rozstawać, aby powinności wychowawcze kłopotem jej się nie stały, nie zabierały czasu, który chce obrócić dla siebie, w interesie swoim, wolnym zostawić. Istotnie ta, która jest cowieczór poza domem, lub w domu gości przyjmuje: tańczy, gra, czy śpiewa, kokietuje, czy bezikiem się zabawia, ta, którą strój i wdzięk osoby swojej, tryumfy próżności, miłości własnej pochłaniają—ta elegantka, ta płocho życia używająca, ta, na którą poeta woła:

Kobieto świata! tyś jak z płótna kwiatki!
Ni w tobie uczuć małżonki, ni matki!...

ta nie może bez szkody ogromnej dziecka w domu trzymać, chyba że na stanowisku, z którego grzesznie zbiegła, postawi odpowiednią zadaniu zastępczynię.

Ale zdarzają się rodzice czyniący tę rzecz złą z pewnej bezmyślności pedagogicznej, z nieświadomego siebie lenistwa myśli, rodzice, którzy mówią: — Dziewczyna na pensyi lepiej się do książki weźmie, bo tam wszystko do nauki właściwie urządzone znajdzie i mieć będzie pod bokiem nauczycielki, które jej w razie trudności z pomocą przyjdą, tam wreszcie cała już przejmie się nauką... Zostawiając na później uwagę: czy bez szczególnego usposobienia, bez zjawiskowego stanu umysłu dziecko młode może być wyłącznie nauką przejęte, odpowiem rodzicom na pierwszą część ich zdania, że należy to do ich obowiązków właśnie, aby dziecko uczące się znalazło w domu rodzicielskim „wszystko właściwie do nauki jego urządzone“. Nie znaczy to, aby cała rodzina, poświęcając się na korzyść tego dziecka, poddała się dla jego pożytków rygorowi szkolnemu, któryby, wszelkie inne względy na bok usuwając, jego potrzeby jedynie miał na celu i na najpierwszym planie je stawiał. Gdzie tak jest, jest źle: zbytek rodzicielskiego poświęcenia przyucza dzieci, aby się za coś najwyższego uważały, przyzwyczaja je do samolubnego przyjmowania ofiar i wyrabia na egoistów, którzy potem zawsze w życiu żądać będą pierwszeństwa—względów, za które sami nic, albo bardzo niewiele oddają. Ale drugostronnie dziecko ma pewne prawa swoje, którym zadosyćuczynienie liczy się do obowiązków rodzicielskich i jak rodzicom nie wolno jest odmówić dziecku dostatecznego pożywienia, tak nie wolno im jest o duchowym jego pokarmie nie myśleć i należy się to dziecku od rodziców, aby naukowe jego potrzeby, gdy raz uczyć się zacznie, uwzględniano i w rachunek układu życia brano: aby dziecko miało do nauki miejsce spokojne, ciche od zamieszań wewnętrznego ruchu domu wolne, gdzieby się przy nauce należycie mogło skupić umysłem, na strony nierozrywanym. Pokój dostatecznie obszerny, przewiewny, dobrze oświecony w dzień i wieczorem, o tyle ustronny aby przechodnim nie był, powinni rodzice uczącym się dzieciom swym zapewnić. Może to być na noc jedna z sypialń rodziny, może to być bawialnia, jeżeli się gości rzadko i peryodycznie przyjmuje, ale w ten lub inny sposób powinno dziecko posiadać naukową pracownię swoją, której brak stanowi często o tem, czy się uczyć będzie lub nie; więc biorąc rzecz w dalszych, a przecież naturalnych i nieprzesadzonych konsekwencyach, stanowi o przyszłości, o kierunku życiowem dziecka, bo rzadko kiedy, i to tylko przy zdolniejszych naturach, umysłowy jakiś popęd pchnie je potem naprzód, gdy długo w naukach zaniedbujące się, więc strofowane, karane za to, nabierze wstrętu do książki i nie wyrobi w sobie zdolności naukowych, zdolności pracowitego zajęcia się, a nawet przymiot obowiązkowości zatraci, nawyknie do stanu nieodpowiedzialności moralnej. Dorosłym trudno jest zająć się poważną pracą umysłową, gdy im do tego jakiś ruch zewnętrzny, jakiś hałas przeszkadza, często sama obecność osoby drugiej już jest pewną przeszkodą do doskonałego zebrania myśli i wie o tem mniejwięcej każdy, każdy też powinien o tem pamiętać przy nauce dziecka, które dlatego właśnie, że jest dzieckiem—istotą niezmiernie wrażliwą, której uwagę ladaco pociągnie, ladaco do siebie przywabi,—ulega o wiele więcej wpływom zzewnątrz nań działającem.

Dbałość rodziców o najlepsze, jak można, warunki nauki dzieci ma jeszcze za sobą to dobro wielkie, że naukę pewną uroczystością otacza, majestat jej przed umysłem dziecka podnosi i szlachetność zajęć umysłowych uwydatnia. Nie wolno jest rodzicom lekceważyć tego, co dziecku jako obowiązek nakazują, bo, niedopomagając mu do przejęcia się obowiązku tego uczuciem, rodzicielskiego zadania nie dopełniają i popychają dziecko na złą drogę płochości moralnej. Z tego też względu rzecz biorąc, sprawa wspomnianej komnaty szkolnej jeszczeby w ważności urosła, gdyby już drugostronnie nie posiadała jej w bezpośrednim dla nauki dziecka pożytku. Względy oszczędności podporządkowane jej być muszą, a jeżeli każda niemal rodzina średnio zamożnych ludzi może dla stosunków towarzyskich zdobyć się na jeden choć pokój, do przyjęcia gości przeznaczony, na salon, należy jej się w podobny sposób zdobyć na pokój, w którymby uczące się dziecko znalazło „wszystko właściwie dla nauki urządzone“. Już przy wyborze mieszkania powinno to mieć taki, jeżeli nie większy wzgląd, jaki się do salonu przywiązuje, powinno nawet w razie potrzeby ekonomicznej względowi temu salon na ofiarę oddać. Podobne ustępstwo z przyjemności rodzicielskich na korzyść wysokiej potrzeby dziecka, jeszcze tego dziecka nie zepsuje, a przeciwnie, serce mu wdzięcznem uczuciem miłości napełni i dobrą lekcyą dla przyszłości życia w pamięci utkwi.

Pomoc korrepetytorska w początkach nauki szkolnej jest jej wielkiem ułatwieniem, a nawet staje się ona konieczną i nieodzowną, jeżeli umysł dziecka nie jest lotny, intelligencya nierozwinięta, pamięć słaba. Dziecko tak ją znaleźć powinno, jak znajdowało niegdyś rękę, która się doń przy pierwszem stawianiu kroków wyciągała i czy nie powinna to być ta sama ręka—ręka matki? Doświadczenie pedagogiczne wykazało, że przy nauce stopnia pierwszego, przy nauce dzieci młodych nikt kobiety nie zastąpi, żaden nauczyciel, żaden pedagog, bo istnieje pomiędzy kobietą a dzieckiem węzeł przyrodzony, przez który istota kobieca łatwiej i lepiej niż męzka istotę dziecięcą rozumie i obchodzić się z nią potrafi: posiada w obejściu się z dzieckiem sobie tylko właściwe ciepło, sobie tylko właściwą delikatność, tkliwość i łagodność cierpliwą, które niczem zastąpić się nie dają, a cóż dopiero, gdy tą kobietą jest matka? To też zaliczyłabym to do obowiązków prawdziwie dobrej matki, aby przy początkowej nauce dzieci korrepetytorką im była. Prowadzenie całkowitej nauki przez matkę rzadko kiedy, i w wyjątkowych jedynie położeniach, z rzeczywistym pożytkiem postępować może, matka bowiem ma najczęściej inne jeszcze dzieci, młodsze lub starsze, które też wymagają jej starań, jej opieki, ma oprócz obowiązków macierzyństwa, obowiązki żony i gospodyni, ma obowiązki towarzyskie, a i te wogóle życia wagę swoją posiadają, ale matka w mieście zamieszkała, więc mniej niżeli wsi mieszkanka przez trudy gospodarskie pochłaniana, może bez szczególnego wysiłku, bez uszczerbku powinności swych innych, parę godzin czasu poświęcić nauce dzieci, której plan i kierunek nie od niej wychodzi, na coby się nie każda matka z równym dziecka pożytkiem zdobyć mogła.

Ale na korrepetycye, na trud—powiedziałabym słodki—wspomagania młodziutkiego umysłu przy pierwszem jego dźwiganiu się ku górze, na pomoc tkliwie dawaną budzącej się intelligencyi dzieciątka swego, każda dobra, każda kochająca matka znajdzie dość umiejętności, znajdzie odpowiednią zdolność przy średniem choćby wykształceniu. A gdyby nawet przez poprzednie zaniedbanie się umysłowe ta rzecz niby łatwa pokazała się dla niej trudniejszą, niech się do usunięcia tej trudności pracowicie zabierze, niech ją pokona: niech sobie zapomnianą naukę szkolną w umyśle odświeży, niech książek odpowiednich trochę poczyta, aż się do zadania swego, do dobrego, poczciwego, miłego zadania uzdolni. Znałam matkę, która się nauczyła po łacinie i trocha po grecku, która się obeznała z geometryą i innemi gałęziami nauk, w zakres kobiecego wykształcenia nie wchodzących, i synów swoich sama, sama zupełnie do trzeciej klassy gimnazyalnej przygotowała. Lata, lata to już temu; o emancypacyi kobiecej tyle co teraz nie mówiono i poprostu miłość macierzyńska była tu natchnieniem szlachetnem, a jakkolwiek sąsiedzi — rzecz działa się na wsi — podżartowywali początkowo z łacinniczki, otoczył ją potem wobec spełnionego faktu wysoki wszystkich szacunek, i nie zapomnę nigdy wrażenia, z jakim się do tej kobiety mądrej, która „po łacinie umie“ raz pierwszy zbliżałam. Synowie jej są już dzisiaj w jesieni życia, a pewno im wspomnienie tej tkliwej matki, zawsze z rozrzewnioną czcią w sercu się łączy, pewno jej pamięć aureolą świętości niemal w myśli ich się opromienia. Aż mi żal to napisać, że ta dobra matka angielskiego była pochodzenia, z angielskiej wyszła rodziny.

Nie może być chyba tkliwszego, a razem silniejszego węzła, nad ten, który się między matką a dzieckiem zadzierzgnie, przy takim stosunku pomocy naukowej, kiedy stworzenie młode, przed powagą szkoły, szkolnych nauczycieli przerażeniem drżące, znajduje w matce przyjaciółkę, pomocnicę dobrą, która miłośnie, łagodnie góry trudności przebywać mu pomaga i do pierwszych tryumfów, pierwszych zwycięztw życia drogę uściela. Jeżeli jest przytem trud i mozoł pewny, trud to i mozoł stokrotnie dla dobrej matki opłacony i zrzekająca go się na korzyść zastępczyni obcej, nie wie jakiej ceny jest rzecz, którą oddała, posiąść ją mogąc. Jeżeli owa zastępczyni dobrze z zadania swego się wywiąże; jeżeli cierpliwie, słodko, spokojnie da dziecku należytą pomoc przy pierwszem łamaniu się jego z nauką: to musi wziąć na własność swoją wielką część serca i szacunku, wdzięczności i zaufania dziecinnego—wielką część uczuć, które matka dla samej siebie zaskarbić powinna. Ale nic darmo, i wielce prawdziwą jest piosenka, która opiewa:

Taki świat:—
Kwiat za kwiat!—

(Dokończenie nastąpi).

Przekłady ze Swinburne'a

(dokonane przez **Adama Pługa**).

CZAS I PIEŚŃ.

Niesłusznie ludzie mówią, że się z czasem zmienia
Stara miłość, że stare wietrzeją wspomnienia,
Że wiek stary do grobu chyli starą głowę:
Wszak ciągle stara rosa rzeźwi młode kwiaty;
Stare słońce chwil młodych wiedzie rój skrzydlaty;
Stara wiosna rozwija róże coraz nowe.

Czyżby królewska wieszcza miała spłowieć szata,
Zwiędnąć wieniec wawrzynu, co mu skroń oplata,
Że tamta dawno tkana, ten dawno spleciony—
Jak płowieją i więdną barwnych kwiatów liście,
Co nie dają owoców trwałych wiekuiście,
Co je niszczy skwar letni, lub zimowe szrony?

O nie! takiej zacności, pamięci i chwale
Najdłuższe lat koleje nie zagrożą wcale;
Bo nie zważa na spieki i srogie zamiecie,
Ani się za ochroną nie ogląda żadną,
Czy z nieba ostre wichry, czy-to gromy spadną,
Nieustraszone niczem, nieśmiertelne kwiecie.

Stare pragnienia, stare myśli, stare cnoty,
Dłużej trwają niż ludzi i ludów żywoty,—
Umarłych, gdyby nie to, co z nimi nie ginie;
Nieskazitelne, droższe ponad wszelką miarę,
Dobra, piękna i prawdy święte skarby stare
Żyją poza tem życiem w świetlanej dziedzinie.

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

II.

Nie podajemy tu listu następnego jmć pana Wojciecha Poczobutta, raz, że chcemy dać mały zarys jego osobistości, powtóre, że p. Wojciech jest zbyt detalicznym w drobiazgach! A jakkolwiek jeszcze niejednokrotnie czytelnik spotka się w naszej powieści z listami p. Wojciecha, na ten raz my go wyręczamy.

Pan Wojciech Poczobutt, ma lat dwadzieścia trzy, wzrostu jest słusznego i zręcznych ruchów ciała; głowę ma kształtną, czoło niezmiernie intelligentne, nad którem falują, jak u kobiety, bujne kędziory blond włosów; oczy duże niebieskie z wyrazem dziwnej przedwczesnej rozwagi, a razem pewnej poetycznej melancholii; nos kształtny, usta duże, czerwone jak polny mak, i mały puszasty wąsik, który niezmiernie troskliwie pielęgnował od wyjścia ze szkół pijarskich. Ojcowie Pijarzy, wielce lubili Wojtaszka, już-to dla jego statku i pilności w naukach, już też jako rodzonego synowca ks. kanonika Poczobutta, który wielką pokładał nadzieję w przyszłość swego wychowańca. Rodzice Wojciecha, — była to drobna okoliczna szlachta, mająca kilkoro dzieci,—nie mogliby takiej edukacyi dać najstarszemu, jaką dziś ma, gdyby nie szczególna łaska księdza stryja, który od najmłodszych lat dziwnie sobie umiłował najstarszego bratanka.

Pan Wojciech posiadał trochę i język francuzki i niemiecki; łacinę gryzł jak rzepę, a w matematyce—to był „primus.“ Ztąd też, ksiądz kanonik, oddał go na jakiś czas do rządowego geometry, by się jeszcze lepiej wyaplikował w sześcianach, kwadratach i kołach.

Geometra był bardzo zadowolony z p. Wojciecha, i już mu nawet wyznaczył pewną pensyę, gdy zdarzyło się, że p. Kasztelan Meleszko napisał „uprzejmy“ list do ks. Kanonika (jako znajomego z lat dawnych), by ten wyszukał kogoś biegłego w rachunkach, uczciwego, i dobrze urodzonego, by zajął przy nim miejsce nadwornego sekretarza—za co ofiaruje dwa tysiące złotych polskich rocznie, garnitur nowy na Wielkanoc, i Boże Narodzenie, oraz stół pański; nadto, jeśli będzie z niego *zupełnie* zadowolony, dostanie po rocznej służbie sztukę hollenderskiego płótna na koszule i pas słucki.

Ba! było za co służyć u tak hojnego pana! To też ks. kanonik, nienamyślając się długo, jak to było w jego charakterze, odpisał natychmiast z wielkim respektem, że właśnie ma pod ręką takiego, jakiego żąda p. Kasztelan, a tym jest jego rodzony synowiec.

Pan Meleszko ucieszył się wielce z zaufania zacnego kanonika, i natychmiast mu w upominku posłał złotą tabakierę ze swoją cyfrą i herbem. Pan Kasztelan miał mnóstwo tabakierek, i ta mu nie wiele znaczyła, ale ksiądz Kanonik był uszczęśliwiony darem, a bardziej cyfrą i herbem Meleszków, co uważał jako upominek „przyjaźni magnata.“

Ksiądz Poczobutt był niesłychanie łaskotliwy na przyjaźń wielkich panów.

I oto, w dni kilka, wyprawił bratanka z listem, do *usług* JW. Kasztelana.

Lecz wracamy do owej, wyznaczonej na audyencyę, godziny dwunastej.

Pięć minut przed dwunastą, Jan, kamerdyner, przyszedł oznajmić p. Wojciechowi, że jaśnie pan kazał mu przyjść do siebie.

Synowiec ks. kanonika, jakkolwiek był rezolutny i dość pewny siebie, wszelakoż, idąc na ową audyencyę do magnata, jakoś dziwnie się strapił. Pierwszy raz w życiu miał rozmawiać z wielkim panem.

Wszedł do jadalnej sali, gdzie mu kamerdyner wskazał krzesło, aby usiadł i czekał aż jaśnie pan zadzwoni. Pan Wojciech, powiódł ciekawem okiem na ten przepych, co go otaczał dokoła. Zostawszy sam, rozglądał się po portretach antenatów wiszących na ścianie, a na jednym z nich najdłużej wzrok zatrzymał. I patrzył i wpatrywał się długo, i zdało mu się, że ta twarz mu znana, że ją gdzieś widział, jeśli nie żyjącą, to także na portrecie. Owoż, nie mylił się wcale: on ten obraz widział w kopii, w Galeryi obrazów w Wilnie.

Był to albowiem ów dumny Kasztelan Meleszko, pan na Tajkurach, co to w czasach panowania Jana Kazimierza robił takie zamieszki i burdy, że aż król sam nie wiedział co z nim począć, a jako słabego charakteru, udał się w *prośbę*, by pan Mikołaj Meleszko zaprzestał już *bisurmanić* po kraju. Na co pan Mikołaj odpowiedział posłowi:—„Będę to robił co mi się podoba—a król jegomość niech robi także co mu się spodoba“ (?).

I kto wie do jakich-by przyszło waśni i zamieszek domowej wojny, gdyby nie Jerzy Lubomirski, który swoją mądrością potrafił poskromić ten wulkaniczny charakter.

Znane dobrze są wszystkim szalone awantury, a nawet okrucieństwa tego wichrowatego magnata: jak wieszał żydów na drzewach, jak potem się kazał mnichom biczować do krwi, jak sam po kilka miesięcy bywał mnichem—słowem, był to prototyp Mikołaja Potockiego, Starosty Kaniowskiego; obaj ci Mikołajowie zostawili osławioną pamięć po sobie.

Na portrecie uwydatniała się cała historya życia i charakter p. Meleszki. Kaptur mniszy na głowie, w oczach iskry płomienne gwałtowności gniewu, dolna warga dumnie wydęta, różaniec w lewej ręce, a prawa oparta na rękojeści szabli. Żupan czarny, a kontusz amarantowy; na piersiach krzyż, na złotym łańcuchu.

Owoż, p. Wojciech Poczobutt, tak się wpatrzył w tę groźną a fantastyczną postać, wysuwającą się z cieniów zagrobowego świata.... że nie słyszał cichego wejścia po dywanach JW. Kasztelana, prapra-wnuka tego, co tak pochłaniał całą jego uwagę. Co spostrzegłszy pan Kasztelan, zatrzymał się chwilkę, nic niemówiąc, snadź, by zlustrować fizyognomię nowo-przybyłego, a danego mu do *wiernych usług*. I pan Meleszko, odbywszy studya przez dobre pięć minut, rzekł sam do siebie: „poczciwy, ale głupi, *tant mieux!*“ Nareszcie, dotknąwszy zlekka po ramieniu p. Wojciecha, rzekł bardzo uprzejmym tonem:

— Bon jour, Monsieur Poczobutt!

Gdyby ukropu zlano na głowę p. Wojciecha, nie drgnąłby tak gwałtownie, jak drgnął, usłyszawszy to grzeczne francuzkie powitanie.

— A tożem się spisał — pomyślał sobie — jak żak jaki—pan Kasztelan pierwszy mnie powitał— a ja, odwrócony tyłem ode drzwi, nie widziałem nawet jego wejścia.

Lecz, oprzytomniawszy natychmiast, odrzekł, oddając głęboki ukłon:

— Ścielę się do stóp JW. pana, oraz przepraszam najpokorniej, żem nie spostrzegł wejścia.... gdyż....

— Wpatrywałeś pan się w portret mego protoplasty — rzekł bardzo uprzejmie pan Kasztelan,— a wiesz pan kto on był?

— Zdaje mi się, że to jest JW. Kasztelan, Mikołaj Meleszko, dziedzic Tajkur.

— A skądże pan wiesz o tem?

— Widziałem już bowiem kopię tego portretu w galeryi obrazów w Wilnie.— O ile wnoszę, z tego oryginału musiała być zrobioną....

— Pan się znasz na malarstwie?—bystro patrząc w oczy młodzieńcowi, pytał Kasztelan.

— Umiem trochę rysować, JW. panie, ale nie miałem na to czasu, ani możności, by się wykształcić w tej pięknej sztuce.

Usłyszawszy taką odpowiedź, p. Kasztelan, który był wielkim zwolennikiem sztuk pięknych, a mianowicie malarstwa, uczuł pewną, że tak powiemy, *sympatyę* dla młodego człowieka, i pomyślał w duchu: „Omyliłem się: *nie głupi;* owszem, przyzwoity i skromny, a że uczciwy, to widać mu z oczu.“ I pan Kasztelan, który miał zacząć rozmowę *z góry*, z pańska o warunkach *służby*, rozmawiał teraz jak z *równym sobie*.

Wszelakoż dotąd obaj stali. Kasztelan wahał się: czy kazać usiąść, czy nie, gdyż to nie było we zwyczaju dworu, aby ten, co miał wejść w służbę, rozmawiał siedząc z Jaśnie panem. Lecz tu zachodzi różnica,—rezonował w myśli p. Kasztelan; to jest dobry szlachcic.... przytem synowiec kanonika Poczobutta; zresztą, będąc moim sekretarzem, będzie musiał koniecznie siedzieć przy mnie, gdy mu coś będę dyktował.... Więc może i teraz usiąść!

— Siadaj-że pan, panie Poczobutt—rzekł łaskawie Jaśnie pan, i sam pierwszy rzucił się w fotel. Młodzieniec, przez *decorum* należne magnatowi, nie usiadł; skłonił się tylko z uszanowaniem, na znak, że wdzięczen za *łaskę pańską*.

— No, ale siadaj-że, ja tego żądam, mamy z sobą do pomówienia, nie jesteś przecież chłopcem, żebyś stał *koniecznie!*

Na to hasło, naturalnie, że usiadł p. Wojciech, ale na samym brzegu krzesła.

— Jesteś mi pan bardzo korzystnie zarekomendowany przez ks. kanonika, który wzmiankuje przytem, że pan pięknie piszesz i znasz dobrze rachunki, zapewne i „trochę“ matematyki? Co?....

Lecz zanim zdołał młodzieniec odpowiedzieć, że powinien ją „*trochę znać*“, skoro był aplikantem u geometry, gdy, nieczekając odpowiedzi, p. Kasztelan odezwał się prędko ze zwykłą swoją lekkością.

— A jak panu na imię?

— Wojciech.

— A fi!.... cóż za fatalne imię, jakto można, kogoś przyzwoitego nazywać Wojciechem? — Nie, ja do tego imienia nigdy nie przywyknę!.... ha! już wiem, przemienimy Wojciecha na Alberta: to wszystko jedno, tylko ładniej brzmi; wszak pan rozumiesz „trochę“ po francuzku?

— Cokolwiek—w łacinie jestem mocniejszy.

— Tant mieux, tant mieux, Mr Albert— i służba nie powinna do pana mówić „panie Poczobutt,“ tylko panie Albert—bo widzisz—oni gotowi z Poczobut-

ta zrobić „Pucybuta,“ to chłopstwo to tak przekręca wyrazy!....

I pan Kasztelan, rad ze swego konceptu, rozśmiał się wesoło. Przez grzeczność, dla wesołości pańskiej, p. Albert uśmiechnął się także lekko, ale jakoś ironicznie.

— Lecz o czem-że miałem mówić? — zaczął, dystrakcyjny p. Kasztelan.— A, wiem, oto, że bardzo chętnie przyjmuję pana do moich usług — będziesz moim sekretarzem — bo mam zwykle dużo korrespondencyj; nadto, zajmiesz się pan sprawdzeniem dochodów i rozchodów całego klucza Meleszkowskiego; weźmiesz pan, jak to mówią, na „*antaby*“ tego łotra Gomuleckiego, który jest generalnym rządcą — a który generalnie mię okrada; już podobno kupił wioskę, a dla mnie—zawsze brak w kassie pieniędzy. Eh bien! *vous savez!*.... ja nie mam czasu zajmować się specyalnie interesami—mamy na to sługi, którym hojnie płacimy, lecz ci słudzy, tak nas okradają... że *fin de fin il nous manque la patience!*....

Mówiąc tak długo o interesach, p. Kasztelan się zmęczył—odetchnął więc—wyjął z pudełeczka pastylkę, przymrużył oczy i zaczął smoktać.

My tymczasem opiszemy powierzchowność jego osoby. Pan Kasztelan, ma lat pięćdziesiąt pięć, ale wygląda daleko młodziej, już to dla swojej wykwintnej toalety, już też dla młodości ducha, która się dziwnie odźwierciedla na twarzy, i można-by rzec, że lata powinny się liczyć *na wrażenia moralne!* Każdy według nas, tyle tylko ma lat, o ile jest w nim młodości dla uczuć piękna, o ile ma swobodę ducha, o ile czuć może miłość!

Wszak widzimy starców z piękną młodą twarzą, jak również młodzieńców zgrzybiałych. Pan Kasztelan był lekki, roztrzepany, marnotrawca, ale był „poetą“ *malgré lui;* kochał piękno we wszystkiem—naturę, sztukę, a nadewszystko: „piękne kobiety.“ Wszelako, jako wdowiec, mający już dorosłe córki, był niesłychanie w tej mierze taktownym i przyzwoitym.

Lecz wracamy do jego młodzieńczej powierzchowności. Wzrostu słusznego, bardzo kształtnej budowy ciała i eleganckich ruchów; nos rzymski; oczy niebieskie pełne życia i energii, usta familii Meleszków: nieco zagrube, i dolna warga dumnie wydęta; nosił angielskie faworyty, bez brody i bez wąsów; ręce miał, najdelikatniejsze w świecie.

To też to była jego *faiblesse*, te białe, delikatne jak u kobiety ręce, z długiemi, starannie wyszlifowanemi paznokciami; zawsze też ręce p. Kasztelana były na widoku, już-to bawiąc się faworytami, już złotem piórkiem do zębów, lub pilnikiem do paznokci, około których wiecznie było coś do czynienia. Znawca dobrego smaku, nie nosił pierścieni, oprócz obrączki i ogromnego sygnetu z krwawnikiem, na którym misternie był wyryty herb Meleszków.

Jak widzimy, powierzchowność pana Augusta-Gerarda, Kasztelana Meleszki, nic a nic nie była podobną do powierzchowności jego praszczura Piotra-Mikołaja *idem* Kasztelana Meleszki.

W „*głosie krwi*,“ wszelakoż, było wiele podobieństwa; gdy się p. Kasztelan raz rozgniewał, (acz zdarzało się to rzadko), biada temu, kto mu stanął na drodze!....

Lubił pochlebców, ale i *nie gardził* słowami prawdy, jeśli te podane mu były rozumnie, z uszanowaniem i pewną *dozą poetyckiej woni!*.... Muzykę i kwiaty lubił namiętnie — nadto, był najczulszym ojcem. Córki bardziej kochał niż pierworodnego syna.

Po długiej pauzie milczenia p. Kasztelan rzekł uroczyście:

— No, panie, już wiesz wszystko, czego żądam, i jak się masz zachować względem Gomulskiego, żadnych względów dla niego; przejrzysz pan regestra, rachunki całoroczne, a jeśli się okaże wielki deficyt, to dziś jeszcze każę wypędzić Gomuleckiego! — bo, jak mówi dobrze francuzkie przysłowie: „*à force de forger, on devient forgeron*,“ — trzeba wszystko robić z pośpiechem.

— Tak, Jaśnie panie—odrzekł wielce zaambarasowany p. Wojciech—lecz to będzie niepodobieństwem, abym w jednym dniu sprawdził całoroczny *billans* przychodów i rozchodów; na to potrzeba czasu....

— A ileż panu na to potrzeba czasu?

— To zależne—jeśli regestra są powikłane....

— *Mais enfin!*.... przecież, na to nie trzeba roku—rzekł już, niecierpliwiąc się p. Kasztelan.

— Zapewne, wszelakoż—mniej tygodnia, sądzę... że nie mógłbym sumiennie i akuratnie wszystkiego zlustrować.

— *Soit*, daję panu tydzień czasu, i proszę, aby wszystkie raporta były krótkie a treściwe!

— Będę starał się spełnić wolę JW. pana.

Pan Kasztelan powstał—robiąc lekki gest ręką, co miało znaczyć, że już audyencya skończona.

Sekretarz *in spe* oddał czołobitny ukłon, a gdy już wychodził, p. Kasztelan nagle coś sobie przypomniał i zawołał głośno: „Monsieur Albert“ à propos:—powiedz pan, Zarembie, niech go tu natychmiast przyszle do mnie—Gomuleckiego.

Stało się, jak Jaśnie pan rozkazał.

W kilka minut zjawił się na progu, na wpół zgięty—pokorny, uniżony pan rządca Gomulecki.

Był to malutki sześćdziesięcioletni człowieczek, całkiem wyłysiały, z nieopisaną przebiegłością w twarzy; usta ginęły mu gdzieś między brodą a nosem; lewem okiem ciągle mrugał, gdy prawe stało nieruchomo jakby szklane.

— Ścielę się do stóp Jaśnie pana—rzekł bardzo cichym i pokornym głosem.

— A, to waćpan, mości Gomulecki!—zawołał porywczo p. Kasztelan, odrywając wzrok od listu, który czytał w tej chwili — ładnych rzeczy dowiaduję się o panu!....

Pan Gomulecki stał jak słup w ziemię wbity; ani się zapytał, jakich to „rzeczy“ dowiedział się jego pryncypał, tylko lewe oko latało, niby w kołowrotku.

— Więc taka-to acana wierność i uczciwość?!—mówił Kasztelan, podnosząc głos *crescendo*—dowiaduję się, że waćpan zamierzasz kupić wioskę, a w kassie mojej wieczny brak pieniędzy!—Zkądże to acpan masz takie kapitały, że już aż do dziedzictwa przychodzisz? hę?....

— Jest to potwarz moich wrogów, JW. panie—odparł najspokojniejszym głosem p. Gomulecki,—kopią podemną dołki, i chcą mnie zbeszcześcić w opinii JW. pana; — ale Bóg jest sprawiedliwy, i wykaże kiedyś prawdę!

— Bóg jest sprawiedliwy i wykazuje mi prawdę, że kassa klucza Meleszkowskiego wiecznie jest próżną, gdy zaś kassa waćpana musi być dobrze nabitą....

— Jaśnie wielmożny panie! jeśli niekiedy kassa klucza wyczerpie się—to tylko chwilowo!—i to, wskutek extraordynaryjnych wydatków, jak o tem wie dobrze sam JW. pan; nigdy zaś tak nie bywa, abyśmy nie mieli kapitału obrotowego, który w każdej chwili może być podjętym, jak oto i teraz!.... na co zresztą są książki regestrowe, które, jeśli Jaśnie pan rozkaże, natychmiast przyniosę!....

— Idź aćpan do licha ze swemi książkami, niby to ja mam czas na to!.... Pan Poczobutt, który dziś tu przybył na mego sekretarza, zajmie się tem!.... i zweryfikuje uczciwość waćpana!... .Ale, oczem-że-to chciałem mówić?.... a!.... tydzień temu nie było w kassie pieniędzy—czy i dziś niéma?

— Tydzień temu były zakupna wołów, spław drzewa do Jurborga, oraz wypłaty naglące; lecz dziś kassa jest zaopatrzona wskutek pomyślnej sprzedaży wełny i okowity!....

Rozjaśniło się duże oko p. Kasztelana, i rzekł już zupełnie odmiennym głosem:

— *Eh bien? c'est une autre chose!*.... a wiele mi możesz dać gotówki p. Gomulecki, i to jutro?... albowiem za dni kilka przyjeżdża moja siostra, baronowa, wraz z moim synem, przeto, domyślasz się, że muszę wyprawić mały „balik“ na ich przyjęcie, nieprawdaż?....

— To się rozumie! to się rozumie, Jaśnie panie, dla tak dostojnych gości. A gdzieżby się to obeszło bez *balu?* Czyż ja nie znam zwyczajów pańskich?!

— No, dobrze! dobrze!—mówił, prędko chodząc po pokoju p. Kasztelan—ileż więc mi gotówki dać możesz?

— Ile rozkaże Jaśnie pan.

Mówiąc to, p. Gomulecki oboje oczu puścił w ruch wiatrakowy.

Pan Kasztelan przystanął aż na środku pokoju, tak był zdumiony tą odpowiedzią. Namyślił się chwilę—nareszcie, wycedził przez zęby, jakby się lękał odpowiedzi odmównej:

— Możesz mi dać tysiąc czerwonych złotych?

Na takie *dictum*, latające oczy p. Gomuleckiego zaprzestały wirowego ruchu, natomiast *okrągły* nos jego rozdął się — niby balon napełniony wodorem, i.... zdało się, że uleci z twarzy *okrągłej*—het! gdzieś w *okrągłe* okolice niebios!....

Pan Kasztelan „cierpliwie“ czekał dobrze dwie minuty, nareszcie rzekł kwaśno.

— Odpowiadaj-że —*tak* lub *nie!*....

— „*Tak;*“ JW. panie, jest to spora sumka!.... którą miałem użyć dla budowy nowej owczarni.... lecz, skoro JW. pan chce użyć jej na „bal“, jutro będę miał szczęście złożyć ją do rąk pańskich!

Kasztelan widocznie się uradował i rzekł z wielką łaskawością pańską:

— Czy wiesz co, mój poczciwy Gomulesiu, — że ludzie bardziej cię oczerniają, niż zasługujesz na to! to logiczne, bo gdybyś mię tak okradał, jak mówią, zkąd-że wziąłbyś tak na zawołanie tysiąc czerwonych złotych?....

— Dowód to łaski pańskiej! — odparł pokornie pan rządca, i tyłem wychodził z pokoju, na znak *submissyi* dla pryncypała. Gdy już był za drzwiami, p. Kasztelan zawołał głośno:

— Gomulecki, przyszlij tu do mnie Poczobutta.

Gdy pan Wojciech stanął przed pańskiem obliczem, p. Kasztelan odezwał się patetycznie:

— Panie Albercie, jakkolwiek.... mówiłem panu przed chwilą, byś srodze obszedł się z Gomuleckim, w razie.... jeśli — pokażą się nadużycia w regestrach! — wszakże, *on ne peut juger personne sans en savoir la raison!*.... ten człowiek nie jest takim, jakim mi go przedstawiano!.... *Vous savez—le monde est si méchant!*....

Pan Wojciech osłupiał, a że trzeba było coś odpowiedzieć,—odpowiedział więc treściwie:

— Ja się tylko do rozkazów i woli Jaśnie pana mogę zastosować. Co pan każe, to uczynię.

— *Eh bien, eh bien*, pomówimy kiedyś o tem obszerniej — *Au revoir!* Pan jadasz przy „naszym stole“—wszak ci to mówiono!....

Z temi słowy zniknął za kotarą gabinetu swego; a pan Albert jak głupi wyszedł z pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dokończenie).

Scena IV.

(*Sampierro, Vanina zemdlona; na głos Sampierra wbiega Bianka*).

Bianka

Panie, panie – ona niewinna—ja panu wszystko powiem....

Sampierro

Wiem wszystko, wiem—ale pani zemdlała; chodź, połóżmy ją na łóżko. (*Kładą ją na łóżko*).

Bianka

Zemdlała! panie.... jak ona strasznie wygląda.... oczy otwarte..... szklane..... na ustach krew..... (*z krzykiem*). Ah! moja pani umarła!

Sampierro (*odsuwa się*)

Umarła? bydź-że to może? (*zbliża się do łóżka*), Tak,—umarła!

Bianka (*płacze*)

O, moja droga pani! o śliczna różo Florencyi!

Sampierro

Cicho! idź ztąd—jest tu ból straszniejszy niż twe żale, a niéma słów, ni łez. (*Bianka klęka przed krzyżem i płacze*).

Sampierro (*zbliża się do Vaniny*).

Umarła na piersiach moich—tak chciała. Krew na ustach — niewiele, ot kilka kropel po bladem licu spływa, ale te kilka kropel, przed Bogiem mnie oskarżą. Umarła.... jak mogła tak nagle umrzeć? czy serce jej pękło, czy ja ją udusiłem, w tym szalonym uścisku? (*Klęka, rozgarnia jej włosy nad czołem i całuje je*). Czoło jej gładkie i zimne jak marmur; przed chwilą ból je marszczył w taki głęboki fałd; przed chwilą przerażenie wyglądało ze źrenic jej: a teraz taka spokojna i cicha! Zabiłem ją pocałunkiem, zadusiłem uściskiem! Czemże jest człowiek na ziemi? Jestże istotą wolną i odpowiedzialną za swoje czyny tam, przed Najwyższym Sędzią; czy też jest tylko igrzyskiem niewidzialnych, wyższych nad niego potęg? Czy światem rządzi Bóg—czy szatan? Czemu się wszystko stało inaczej niż chciałem? Czemu ja ukochanej mojej miałem zamiast szczęścia dać śmierć? I czemu teraz, za tę kroplę krwi z jej serca, mam odpowiadać przed Bogiem? O, Vanino, na co ja ciebie tam, daleko, na obcej ziemi poznałem, i musiałem pokochać, kiedy cię miłość ta zabić miała? Vanino, może to dlatego, że wprzódy jeszcze niż ciebie, ja poślubiłem Korsykę, a, oto, zazdrosna pierwsza kochanka, odtrąciła cię odemnie, aż moją własną ręką pogrążyła cię w przepaść. Vanino, żegnam cię... Tam gdzie nie będzie już ziemskiej ojczyzny, której tu muszę oddać i serce i ramię, i oko i myśl—tam, w niebie—ja będę twoim, Vanino!

Scena V i ostatnia.

(*Sampierro. — Na boku Bianka.— Wchodzą: Hugo, Paolo i kilku innych Korsykanów*).

Hugo

Okręt w przystani już czeka; miała o wschodzie słońca odpłynąć. Śpi? trzeba ją zbudzić, Sampierro.

Sampierro

Oh! gdyby ją jeszcze zbudzić można!

Hugo

Cóż-to? umarła?

Sampierro

Zabiliśmy ją.... ciesz się, usunęła mi się z drogi.

Hugo

Ha.... ja nie chciałem tego—taka wola Boża....

Sampierro

Ah, jaka to wygodna wymówka!

Żołnierz (*wpada*)

Doria ze swem wojskiem pod murami miasta....

Sampierro (*zbliża się do Vaniny*)

Doria przychodzi bronić ciebie, najdroższa—niestety, zapóźno przybywa. (*Dzwony biją na gwałt*).

Paolo

Słyszysz, wodzu nasz, dzwony biją na gwałt....

Hugo

Sampierro, ocuć się—Doria pod murami miasta.

Sampierro

Ciała jej nie dam mu, nie.... nie wejdzie tu, chyba aż ja polegnę na murach. Lecz kto tu będzie przy niej?

Bianka (*zbliżając się*)

Ja jej nie odstąpię, panie.

Hugo

Dobrze, ty zostań—niewieścia-to rzecz nad umarłemi płakać.

Żołnierz inny (*wpada prędko*)

Z drugiej strony, od gór, schodzi tłum zbrojnych górali.

Sampierro

Dotrzymali mi słowa.... staję na czele. Na wały—bronić miasta! Niech żyje Korsyka!

Wszyscy

Śmierć najeźdźcom! Niech żyje Korsyka!

KONIEC.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów we Wrześnin.

(Dokończenie).

Młodzieniec ten o fizyognomii typowo-żydowskiej, ale przez ducha uszlachetnionej, marzy zapewne o moralnem przekształceniu swego wyznania w duchu nowych zasad, w duchu wolności sumienia i praw nauki. Podobny on do tego holenderskiego marzyciela, Uriela Akosty, którego dał nam artysta w roku ubiegłym. Czwarta postać tej grupy przedstawia nam żyda zaczytanego namiętnie w biblii, nad którą położył się prawie nad ławce. Cokolwiek powiedziećby się dało o wyrazie i znaczeniu tamtych figur, to twarz tego erudyta biblijnego najwyżej stoi pod względem artystycznego pomysłu i wykonania. Żydówki pomieszczone na drugim planie, na owej podniesionej galeryi, dają widzowi także kilka cennych typów wschodnich; z pomiędzy tych dwie matrony, zwłaszcza zaś stara żydówka po prawej stronie, z wyrazistą, pergaminową twarzą, z rysami, w których maluje się powaga i siła, we wspaniałym dyademie z pereł, w bekieszy z ciemno-szafirowego aksamitu, o sobolowym kołnierzu—sprawia silne wrażenie. Kilka wschodnich piękności dodaje wdzięku obrazowi, jak parę kwiatów rzuconych na trawnik. Jeżeli całość kompozycyi sprawia harmonijne wrażenie, a niektóre szczegóły ujawniają niepośledni pędzel obok, szlachetnym duchem i gorącem uczuciem dla pewnej sfery ideałów natchnionej, pomysłowości; jeżeli również i technicznej stronie wykonania przyznać wypada zasłużone pochwały—(szczegóły kosiumów *wyrzeźbione* są nader delikatnym i wytwornym pędzlem),—a ogólny nastrój kolorytu tchnie powagą i prawdą: to przykrym dyssonansem w tej harmonii są rażące błędy w rysunku. Z prawdziwem zdziwieniem patrzymy tu na tak dotkliwe uchybienia przeciwko najprostszym zasadom anatomicznym, na tak fałszywe modelowanie kilku figur, że bijący ten kontrast pomiędzy sztuką malarza a rysownika, ujmuje bardzo wiele miłemu wrażeniu, które kompozycya p. Gottlieba sprawia. Błędy te, w tak niespodziewanej sile występujące u tak daleko posuniętego już artysty nakazują mu gorliwie wziąć się do uzupełnienia niedostatecznych studyów w tym kierunku i do śpiesznego wyrównania braków, w przeciwnym razie artystyczna wartość dzieł dozna bardzo dotkliwej raznazawsze szkody.

Jeżeli pan Paweł Weber z Monachium jest Polakiem, to, sądząc po jego płótnie zatytułowanem ogólnikowo: „Krajobraz większych rozmiarów“, możemy powiedzieć, żeśmy zyskali w nim niepośledniego pejzażystę. Powątpiewanie które tu wyrażam, opiera się nietylko na niemieckim brzmieniu nazwiska, ale i na podpisie pod temże: „München“, chociaż okoliczność ta nie jest widać stanowczą, skoro i na obrazach Fr. Streitta widzimy to samo „München“, mojem skromnem zdaniem, w tym razie wcale nie właściwie. Kompozycya krajobrazowa pana Webera, na szerokiem płótnie rozpostarta, przedstawia leśną polankę z grupą drzew, na pierwszy plan wysuniętych i stanowiących niejako ideę obrazu; reszta szczegółów bowiem dostraja się już tylko do całości z tą grupą, która należy do najgustowniejszych pomysłów pejzażowych, jakie wydało dzisiejsze malarstwo w tym rodzaju. Kępa drzew ponad strumykiem, do którego schodzi się pokładem głazów, składa się właściwie tylko z dwóch dębów, z których pierwszy rozsiadł się po magnacku w niesłychanej bujności kształtów, drugi świeci tragiczną nagością smukłych — ale usychających już konarów. Męzki to wiek i zgrzybiałość w państwie natury—kontrast prześlicznie pochwycony i z wielką brawurą fantazyi wykonany. Trzoda owiec z pasterzem nie ma tu już wielkiego znaczenia wobec artystycznego zajęcia wyobraźni, jakie obudza rozglądanie się w bogactwie i szlachetności kształtów tych drzewnych olbrzymów. Ten stary dąb ze swemi nago-sterczącemi konarami trzyma się tak po królewsku w swej nędzy i sromocie, że przypomina majestat Lira, walczącego z burzą. Drugi plan, przedstawiający ciemno - szafirowe i w mgławy błękit gubiące się smugi coraz odleglejszych lasów, pomyślany jest z równem poczuciem naturalnego piękna i smakiem fantazyi. Całość owiewa czerstwy, świeży oddech natury—czuć rzeźwość w powietrzu, czuć chłód podnoszący się z wody. Koloryt silny, jędrny, a tchnący prawdą. Jednem słowem, utwór pierwszorzędnej wartości, w dziale krajobrazowym, ujawniający i talent i duszę—szkoda raz jeszcze, iż nie wiemy, czy p. Weber jest Polakiem?

Krajobrazów jest na wystawie tegorocznej dużo i ładnych; ale o znanych imionach powiem przyszłym razem, dziś wymienię jeszcze tylko krajobraz także u nas dotąd nieznanego artysty Romana, Kochanowskiego: „Widok zpod Krakowa“. Rzecz to już o wiele mniejszej wartości od poematu p. Webera przypominającego Szekspirowską treściwość i siłę. Ale i pejzaż p. K. ujawnia dar kompozycyi oryginalnej, nie wysnutej z tych zużytych już u nas komunałów pejzażowych, które powtarzają się wiecznie i wiecznie aż do przesytu. Widok to także leśny. Po prawej stronie widzimy rąbek lasu złożony z kilkunastu drzew, jakoby na pikietę wysłanych i stanowiących urocze wnijście do zielonej twierdzy. Grupa ta, na lekkim pagórku umieszczona, rzuca głębokie cienie na małe, błotne jeziorka, które potworzyły się w mokrej glebie i stanowią ochłodę bydełka tutaj się pasącego. Po drugiej stronie tych ładnie malowanych bagienek wije się smuga wierzb, opasująca wiankiem przedmioty pierwszego planu i gubiąca się gdzieś poza przednią grupą owej pikiety. W powietrzu skwar widoczny. Zasługa to artysty, że umiał tak wymownie oddać usposobienie natury; znać, że rozumie duszę jej i charakter. Krowy pokładły się w chłodnym cieniu drzew. Wszystko, słowem, złożyło się na wrażenie parnej spiekoty. Nawet niebo rozlało się w górze jakąś gorącą lawą. Pędzel nie ma tej imponującej siły i prawdy wyrazu, którą podziwiamy u p. Webera, przeciwnie, dojrzelibyśmy nawet w nim pewną dążność do idealizowania natury——w każdym razie jednak niéma w nim żadnej grzesznej maniery lub nienaturalności, a znamionuje go przytem elegancya, ciepło i soczystość barw.

Nieznane u nas dotąd imię p. Kazimierza Szolca, ucznia szkoły rzymskiej, dobrze się także zaleciło pejzażem włoskim, zatytułowanym: *Osada nad parowem*. Na opoce poszarpanej załomami ciągną się dwa długie włoskie domowstwa; wiedzie ku

nim most, rzucony potężną arkadą ponad parowem; po lewej wyzierają z ram obrazu jakieś ruiny, po prawej wierzchołki drzew, schowanych poza mostem, barwią krajobraz. Wykonanie bardzo szczegółowe, delikatne i plastyczne; tradycya dobrej sztuki i powab natury włoskiej spoczęły na tej kompozycyi.

Ostatnie kompozycye Gersona: *S-ta Jadwiga wchodząca do sali sądowej* i *Pomorzanin rozzbrojony przez dwie mazurki*, a zwłaszcza pierwsza kompozycya, nazbyt fantazyjny nosi charakter zarówno w pomyśle jak w kolorycie, bardziej niż kiedykolwiek przepojonym tą Gersonowską mistyczną mgłą, aby mogły znaleźć w nas miłośników. Czyżby Gerson miał znowu cofać się w ową chorobliwą epokę swego talentu, gdy malował *Władysława Łokietka?* Twórca *Kopernika*, którego zdrowy realizm znalazł taką zachętę w powszechnem uznaniu, nie powinienby nawiacać się ku dawniejszym, przebytym już fazom w rozwoju swego szlachetnego talentu.

Portret ks. Leona Sapiehy, malowany przez Henryka Rodakowskiego, dzieło, o którem tyle pisano, zanim artysta przyłożył doń rękę, uważać należy za rzecz zupełnie chybioną. Pomijając przepysznie wykonane szczegóły kostiumu, jak ponsowy aksamit żupana, guzy złociste, a przedewszystkiem amarantową poręcz u fotela, ani sposób malowania twarzy, ani podobieństwo rysów nie zalecają obrazu. A szkoda—bo ten portret wykonany został kosztem funduszu krajowego i zawisnąć ma w galeryi marszałków, która zdobić będzie salę obrad sejmowych w nowo-wznoszącym się gmachu.

O cackach rodzajowych Streitta, jak: *Babunia*, *Kuracya lalki*, *Pierwsze kroki*, nie myślę pisać ani dziś, ani później, bo niewątpliwie były one już w salonie warszawskim. Streitt w ostatnich swoich pracach zdobył tak wysoki stopień udoskonalenia, że należy dzisiaj bezpiecznie do celniejszych przedstawicieli t. z. „rodzaju“ w malarstwie europejskim. Psychologia dziecinna w *Kuracyi lalki* jest podpatrzoną tak bystro, tak dowcipnie, tak serdecznie, że obrazki podobne mają cenę artystycznych klejnocików. W dziale rzeźby pierwsze dotąd miejsce zajmuje marmurowy biust ś. p. Bakałowiczowej, nieposzlakowanej roboty Teodora Rygiera. W rzędzie akwarell błyszczy nowe arcydzieło Juliusza Kossaka *Farys*. Malarz genialnie odczuł ducha fantastyczności wschodniej. Jego Beduin, w białym, na wolę wichrów rzuconym płaszczu, pędzący na niedoścignionym rumaku po wrzącym piasku pustyni, w tumanach dławiącego skwaru, pośród szkieletów i ptactwa żarłocznego, jest potężną kreacyą, pełną dramatycznego wyrazu. Farys, nagabywany ze wszystkich stron przez ptactwo i potwory, natęża łuk, aby strzałami utorować sobie drogę. Werwa ogólnego ruchu, charakterystyczna dzikość krajobrazu, ceglasty koloryt spieczonych tumanów kurzu i piasku — zlewają się w całość, która porywające sprawia wrażenie.

Odkładając do przyszłego listu pogawędkę o innych obrazach, przejdę dziś jeszcze na pole literackie. Coprawda, zastój umysłowy i wydawniczy, spowodowany w Galicyi, a podobno i w Królestwie, przez rozgrywające się nieopodal nas wypadki polityczne, ograniczył działalność wydawniczą firm lwowskich do mikroskopijnych rozmiarów. Księgarnia Polska, której zasłużony byt wstąpił w nowy okres pomyślniejszego rozwoju z objęciem współki jej przez sympatycznego poetę-satyryka i tłómacza piosnek Berangera, M. Rodocia (Mikołaja Biernackiego) rozpoczęła poszytowe wydawnictwo *Historyi wielkich geograficznych odkryć* Oskara Peschla, w przekładzie Józefa Tretiaka. Taż sama firma zaczęła seryami wydawać *Śpiewnik polski*, mający pomieścić nietylko popularne, z ludowych ust wysnute pieśni, które przyjęły się w społeczności i przechodziły jako narodowa tradycya z pokolenia w pokolenie—ale także wszystkie we formie pieśni pisane utwory poetów naszych, które znalazły głośniejsze echo w uczuciach narodu. Zbiorek to będzie spory; z obu pierwszych tomików, które przed nami leżą, nabieramy przekonania, że wydawcy starali się o plon obfity i zbiór, o ile możności, dokładny.

Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, zanim w przyjaźniejszej chwili przystąpi do wydania swych wyborowych nowości, oddawna zapowiedzianych, jak: *Listy Krasińskiego*, *Dzieła Juliusza Słowackiego* w nowem krytycznem przejrzeniu, dokonanem przez znakomitego biografa poety, Antoniego Małeckiego i t. d. wychodząc z zasady: *nulla dies sine linea*, wydała w tych dniach nader sympatyczną i nauczającą książkę: *Charaktery historyczne* Jana Scherra. Jestto przekład niektórych monografij celniejszych postaci dziejowych, z których cyklu popularny pisarz niemiecki—autor przełożonej na język nasz: *Historyi literatury powszechnej*, — uplótł czterotomowe, nader zajmujące dzieło p. t. *Menschliche Tragicomödie*. Z tej galeryi „charakterów historycznych“, ciągnącej się szeregiem wieków, począwszy od Grecyi aż do XIX stulecia, tłómacz polski wybrał sześć monografij osób, które w politycznej, obyczajowej, a nawet literackiej historyi nowszych czasów trwałą odegrały rolę. Znajdujemy tu więc portrety: *Joanny d'Arc*, *Cromwella*, *Ninon de Lenclos*, *Matyldy królowej duńskiej*, *Karola XII*, *Mirabeau* i *Maryi Antoniny*. Scherr ma niepośledni dar ożywiania historycznej opowieści szczegółami, które postaciom przezeń kreślonym nadają życie, wydatność i koloryt. Nauka kojarzy tu się z żywiołem nieomal belletrystycznym; niéma tu oschłości, ale zarazem i nie potrzeba trwożyć się płytkością. Autor stoi na poziomie najnowszych wyników krytyki historycznej, a poglądy jego tchną duchem wolnomyślnych pojęć i pojętego z godnością humanitaryzmu. Taż firma wydała świeżo nową, dwutomową powieść T. T. Jeża: *Pod obuchem*, z życia społecznego wysnutą.

Wystawa rolniczo-przemysłowa lwowska z roku 1877 wywołała nader cenne wydawnictwo, które rozjaśni cały obszar stosunków ekonomicznych naszej produkcyi, we wszelkich jej zakresach, a przynajmniej w tych, które wystawa sama obejmowała. Wszechstronny zaś jej charakter powinien dać należytą miarę wszechstronności wydawnictwa, o którem mówię. Jestto kosztem funduszu krajowego, za uchwałą sejmu, ogłaszane w zeszytach *Sprawozdanie z wystawy*, opracowane przez komitet, złożony z najznakomitszych sił specyalnych w kraju. Złoży się z tego w swoim rodzaju pomnikowe dzieło. Pierwszy zeszyt, w wytwornej, drzeworytami zdobnej edycyi, zawiera opis grup 5 i 15: *Narzędzia i machiny rolnicze*, opracowany przez professora szkoły rolniczej w Dublanach, Tomasza Rylskiego. Następny zeszyt zawierać będzie: *Sadownictwo i warzywnictwo* Kazimierza Langiego.

Teatr lwowski rozpoczął sezon zimowy dnia 3 Września komedyą Blizińskiego: *Pan Damazy*. Siły celniejsze dramatu i komedyi pozostają wszystkie te same: Nowakowska, Parżnicka, Aszpergerowa, Ładnowska, German, Zimajer; Ładnowski, Fiszer, Dobrzański, Zboiński, Zamojski, Lubicz, Konarski i t. d. Wyborowe to grono uzupełniają powracający do Lwowa państwo Woleńscy, tudzież pan Podwyszyński, aktor nie bez talentu. W ten sposób utrzymanie repertoaru poważnego nie powinnoby ulegać trudnościom, byleby dyrekcya hołdowała zasadzie dobrego smaku. Jako pierwszą nowość zapowiadają *Rodzinę Fourchambaultów*, ostatni, piękny dramat Augiera. Sezon muzykalny rozpoczęła dwoma koncertami wokalnemi znana śpiewaczka pani Friderici-Jakowicka.

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

II.

Marya, jest jednym z najciekawszych, najbardziej zadziwiających utworów poetyckich, tak naszej, polskiej, jak i powszechnej literatury. I rzeczywiście nietylko jako sam poemat wzięty, w ścisłem i technicznem znaczeniu tego słowa, ale jeszcze i szczególnie przez wzgląd na pewne wyłączne okoliczności tyczące się samego poety—jestto prawdziwe zjawisko.

Trzy są główne punkta, na których się opiera ten wyjątkowy charakter poematu *Marya*. Najpierw: czas, w którym go pisał Malczeski; powtóre, ta osobliwość, iż *Marya* jest jedynym, zarazem pierwszym i ostatnim, ze znanych jego poematów; nakoniec, język, którym się posługiwał poeta i sposoby, jakich używał do oddania swej myśli, to jest do stworzenia tej zewnętrznej formy, w której zamknął swoje nieporównane poetyczne natchnienie.

We względzie czasu, w którym Malczeski pisał swój poemat i w którym go ogłosił drukiem, musimy wejść w pewne szczegóły, bez których trudno byłoby zrozumieć prawdziwe znaczenie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Malczeskim a współczesnymi pisarzami polskimi codo stanowiska literackiego i codo szczególności jego utworu.

Franciszek Kowalski, mówiąc o swojem spotkaniu się z Malczeskim (*), wspomina rozmowę i cytuje jego własne wyrazy, które doskonale malują stan literatury naszej w epoce, kiedy pisał *Maryę*.

„Dobrze, że się pan wziąłeś, mówił Malczeski, do przepolszczenia *Moliera*, gdyż on w samej rzeczy jest ojcem nowej komedyi i niewyczerpanem źródłem dowcipu, ale byłoby daleko lepiej, gdybyście wy, młodzi poeci, nie szli za Francuzami, nie trzymali się ich niewolniczo, nie myśleli ich myślami, nie patrzyli ich oczyma i nie przeszczepiali obcych nam obyczajów na naszą ziemię; ale gdybyście z własnych kopalni dobywali własne niewyczerpane bogactwa, których nie znacie, albo znać nie umiecie i nie chcecie. Dotąd się ciągnie jeszcze u nas mdła, małpiarska, Stanisławowska literatura, same tłómaczenia i naśladowania, a czyż nie czas, abyśmy o własnych siłach sami już chodzić mogli?... Patrz pan na Alexandra Fredra, *(tak)* nie tłómaczy on Moliera, ale pisze jak Molier, i oryginalnemi narodowemi komedyami zyskał sobie nazwisko i sławę Moliera Polskiego“ (**).

Jakkolwiek zbyt surowym był sąd Malczeskiego o Stanisławowskiej literaturze; był on przecież szczerym i prawdziwym codo literatury polskiej, takiej, jaką widzimy na początku naszego stulecia. Literatura nasza w ostatniej połowie XVIII wieku, chociaż była może niższą pod pewnym względem od Zygmuntowskiej, miała przecież jedną wielką zaletę: usiłowała ona wyprowadzić język polski z łacińskich makaronizmów, w które go była wtrąciła epoka Saska.

Jak dzielnie zadanie to spełnionem zostało, dowodzi tego cały nieprzerwany postęp literatury narodowej aż do naszych czasów—postęp, który jest niezaprzeczonym wynikiem nadanego wówczas ruchu piśmiennictwu polskiemu. Dosyć jest wziąć do ręki dzieła Naruszewicza i Krasickiego; dosyć jest wczytać się w prozę, tak polską, tak świetną, samego nawet mecenasa czwartkowych obiadów Stanisława Augusta—jędrniejszą, śmielszą, silniejszą nawet w wyrażeniach, aniżeli się można było spodziewać, znając słaby charakter i pełną słodyczy naturę tego króla (***).

Codo poetów — pomijając tak obfitą lecz przejrzystą i czystą płynność Krasickiego—Trembecki zaczerpnął już wówczas w najczystszych, najlepszych źródłach polskiej mowy, tajemnicę tego języka, którego ścisłość, dźwięk i moc wyrażenia zostaną nienaśladowanym prawie wzorem tego, co może wydać doskonałe narzędzie w ręku biegłego mistrza.

Stanisławowska literatura nie była więc ani mdłą, ani wyłącznie naśladowniczą. A owo jakby odrodzenie się języka i piśmiennictwa polskiego, które było jej dziełem, stało się początkiem tego umysłowego ruchu, z którego wyszedł tak zwany

---

(*) Ob. N. 37 Bl. str. 291.

(**) *Wspomnienia* Franciszka Kowalskiego; T. I, str. 206.

(***) Pomijając inne pisma Stanisława Augusta, odsyłam jedynie ciekawszych do mowy, którą król miał na sejmie, wstawiając się za Kóźmą, a która jest prawdziwym wzorem wymowy polskiej.

u nas *romantyzm* — nazwa niezastosowana do rzeczy i nie polska. Jednym z pierwszych przedstawicieli tego „romantyzmu“ był Malczeski w swoim poemacie *Marya*. Co było rzeczywiście mdłem i małpiarskiem u nas, to ten ciąg dalszy Stanisławowskiej literatury, którego cały i jedyny zasób stanowiły tłómaczenia i naśladowania wyłącznie prawie pisarzów francuzkich.

Nieszczęścia kraju tłómaczą dostatecznie ten stan, jakby umysłowej niemocy piśmiennictwa naszego w ostatnich latach XVIII i na początku XIX wieku. Smutny ten okres zamknąć się miał dopiero z końcem burzliwej epoki wojen Napoleońskich. Stan ten wyraził się w literaturze nowym kierunkiem, który stworzyli nowi ludzie, wyszli z młodszego pokolenia, a których usiłowanie szlachetne uwieńczonem zostało najświetniejszem powodzeniem, jakiem się pochlebić może piśmiennictwo polskie.

Przypomnijmy tu sobie, że głównem ogniskiem, z którego miało się rozejść po Polsce to nowe umysłowe dążenie, był uniwersytet Wileński. Łatwo będzie pojąć zkąd ta szkoła główna tak wielkiego wówczas nabrała znaczenia, gdy się uwzględni, że to był jedyny uniwersytet w kraju, leżący jakby poza obrębem tej umysłowej sfery, której środkowym, głównym punktem była Warszawa. Zapewne i w Warszawie płonęło ognisko życia, ale w stosunkach piśmienniczych Warszawa była siedliskiem tej literackiej fabryki, w której się tworzyły owe-to tłómaczenia i naśladowania dzieł współczesnej literatury paryzkiej, tak wzgardliwie wspomniane przez Malczeskiego. W Warszawie żyła cała dawna literacka tradycya od lat niepamiętnych. Zacząwszy od zakładów drukarskich aż do starych i poważnych arystarchów, była tam ustalona, uznana, uświęcona hierarchia, mająca w swem ręku miejscowe dziennikarstwo i posługująca się niem według swej woli—wydając i ogłaszając wyroki i prawa.

Przeciwnie, w Wilnie pole było otwarte i czyste. Hierarchia uniwersytecka, zajęta bardziej naukami ścisłemi i przyrodzonemi niż literaturą i poezyą, nie miała w tym względzie ani uprzedzeń, ani przesądów. Professorowie, znakomici, przystępni i uprzejmi dla młodzieży, uczynni dla wszystkich pragnących wiedzy, szczodrą i pełną ręką rozrzucali naukę i światło, a jeżeli zwracali się czasem ku obcym źródłom, to bardziej w starej łacinie lub grecczyznie niż w nowej francuzczyznie szukali swych wzorów. *Dziennik Wileński*, jedyny (*) dziennik miejscowy—cichy, skromny, ani pomyślał o polemice literackiej, dla której zresztą uboga bibuła jego kartek nie była wcale ponętnem polem popisu.

Wkrótce z niepewnych, niespokojnych i nieokreślonych poszukiwań miało wyjść imię człowieka, którego przeznaczeniem było wyrazić jawnie, dobitnie, uosobnić w sobie samym, cały ten ruch i zostać jego największym, najświetniejszym i niezaprzeczonym przedstawicielem. Tym człowiekiem jest oczywiście Mickiewicz.

Ale nie mamy tu wcale zamiaru wchodzić we wszystkie szczegóły tej umysłowej zmiany w Polsce i tłómaczyć wszystkie przyczyny i skutki wielkiej reformy naszego języka i naszej literatury w owym czasie. Chcieliśmy tu dotknąć tylko zlekka i jakby nawiasem głównych objawów tej zmiany i uwydatnić to przeciwieństwo, wobec którego miał się znaleźć autor *Maryi*, wydając ją na świat i to w Warszawie, a bardziej jeszcze wskazać ową tak wybitną sprzeczność, jaka zachodziła pomiędzy tem, co się pisało, drukowało i czytało w owym czasie w Warszawie i w kraju całym, a pomiędzy tym płodem, który wydał z siebie geniusz Malczeskiego w skromnem zaciszu wiejskiem Wołynia — zdala od klassycznej Warszawy i od romantycznego Wilna.

Poprzestać więc musimy na tem pobieżnem wspomnieniu, niewymieniając nazwisk, niecytując dzieł, które należą u nas do literatury nazwanej klassyczną; bo te imiona i pisma są jeszcze w pamięci wszystkich, a piśmiennictwo z pierwszych dwudziestu lat naszego wieku—to rzecz współczesna prawie i, w ogólnych przynajmniej rysach, znana każdemu Polakowi.

Dodamy tu jedynie tę wzmiankę, że, jak założeniem pisarzów Stanisławowskich czasów było oczyszczenie języka polskiego z chwastów i zarośli kuchennej łaciny, tak usiłowaniem klassycznej literatury było doprowadzenie go do tej doskonałości francuzkiego rozwodnienia, którego najlepszym wzorem zdawał się być L'Abbé Delisle. I rzeczywiście, męczony, naciskany, wycieńczony w ich ręku, biedny język polski zmiękczał i jakby zmalał w tej pracy. Pozbawiony żywotnej i jędrnej swej rdzeni, stał się niby próchnem; świecił tym fałszywym blaskiem, co zdradzał obce mu wpływy i obce obroty. Wygładzony, wymuskany, trącił jakimś mdłym zapachem straszliwej pomady i zamiatał za sobą ogonem francuzkiego fraka.

Musiało to więc być powołanie wyższe, przeważne i wszechmocne natchnienie prawdziwego poety, które popchnęło samotnego Malczeskiego na tę drogę, tak przeciwną i temu, co się działo w kraju, i jego, jak się zdawało, własnej naturze i wychowaniu. W rzeczy samej tkliwy, marzący z dobrem aż do słabości sercem, Malczeski nie miał nic w sobie, co cechuje ludzi uganiających się za nowatorstwem, a szukających przytem najczęściej hałasu i wrzasku o sobie. Wychowany w domu, gdzie tradycye gładkiej dworności, pięknego ułożenia, przyjemności towarzyskiej, przechowywane były i praktykowane, z zamiłowaniem prawie zabobonnem; gdzie język francuzki zastępował najczęściej ojczystą mowę i służył do zmiękczenia serca, temłatwiej, im to serce było miększem, skłonniejszem do czułych, delikatnych wrażeń — Malczeski był mniej przygotowanym niż ktokolwiek inny do przełamania tak pięknych prawideł. Czuły z natury, stał się czulszym jeszcze tak z powodu domowych przykładów, jak wskutek pierwszych lat swej młodości spędzonych wśród towarzystw, gdzie zamożność otwierała szerokie wrota wszystkiemu, co było piękne, ukształcone, przyjemne i gładkie, gdzie szczególniej czułe i piękne panie nasze z tak czarodziejskim wdziękiem wabiły ku sobie młodość, podniecały imaginacyę i zawracały głowy!

A przecież pomimo to wszystko był on po Mickiewiczu pierwszym (*), co się poważył wystąpić wbrew klassycyzmowi z nowym sztandarem, i dał poemat, w którym wszystkie cechy znamionujące ostateczne zerwanie z przeszłością są wyrażone tak dobitnie, tak silnie, tak głęboko, jakgdyby to zerwanie chciał oznaczyć palącem, niezmazanem piętnem. Co jeszcze odznacza bardziej to wystąpienie Malczeskiego w tak niezwykły sposób, to to, że oddalony od Warszawy, niemając żadnych stosunków z Wilnem, sam przeczuł, sam w sobie rozwinął, jak mówiłem, to uczucie odrodzenia i, jak wieszcz prawdziwy, wieszczem okiem potrafił zbadać zamgloną przyszłość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(*) Po r. 1824 wychodziło w Wilnie rzeczywiście jedno tylko pismo literacko-naukowe i jedna gazeta, ale w całej epoce, o której tu mówi autor, stolica Litwy była o wiele zamożniejszą w czasopisma. Obok gazetowego *Kuryera Litewskiego*, przezwanego później *Kuryerem Wileńskim*, wychodziły wówczas w Wilnie trzy poważne czasopisma literacko-naukowe: *Dziennik Wileński* (1815—1830, niezależnie od lat 1805 i 6), *Tygodnik Wileński* (1816—1822) i *Dzieje dobroczynności krajowej i zagranicznej* (1820—1824). Wszystkie trzy, zwłaszcza pierwsze, zasilały się pracami ludzi najznakomitszych w nauce i piśmiennictwie. Obok tych pism *Wiadomości brukowe* (1817—1822) wydawane przez Jędrzeja Śniadeckiego, Borowskiego, Szydłowskiego, Balińskiego i innych Szubrawców, w arkuszach tygodniowych, bronią satyry i trzeźwej krytyki społecznej walcząc, wpływ kształcący na klassy wyższe wywierały. Wiarogodne szczegóły o tej rozumnej, obywatelskiej działalności znaleźć można w pracy p. Piotra Chmielowskiego w *Tygodniku illustrowanym* w r. b. (1878) w N. 107—114. Wychodziły nadto w Wilnie pisma specyalne, naukowe i zawodowe. *Dzieje dobroczynności* ważne są dla pomieszczonych w nich rozpraw historycznych. W *Tygodniku* pomieszczał prace swoje Lelewel. *D. Wil.* tworzy 64 duże tomy. Dział krytyczny w tem piśmie rzeczywiście nie był bogatym. Przypomnieć tu wypada, że ruch czasopiśmienniczy, jakkolwiek nie miał dogodnych dla siebie warunków, nie ograniczał się jednak na samem tylko Wilnie. W r. 1818 w Połocku przy tamtejszej Akademii wychodził *Miesięcznik Połocki*, w duchu klerykalnym, ciekawy ze względu na polemikę, jaką prowadził z nowemi ideami. W piśmie tem ogłoszone zostały poraz pierwszy ze zbiorów Bibl. Akademickiej w Połocku Listy Padniewskiego do Zygmunta Augusta. Lata 1820—1824 były latami istnego szału czasopiśmienniczego, wprawdzie w jednéj tylko rubryce: zaofiarowania; rubryka żądań bowiem nie przedstawiała się świetnie. Wydawano czasopisma nawet bez pomocy druku, wprost w odpisach odręcznych. Między innymi tak wydawała swego *Domownika* w latach 1818 — 1820 Wanda Malecka. Redaktorowie i wydawcy wyrastali zpod ziemi, spadali z nieba jak Fr. Grzymała lub Konstanty Majeranowski; czytelników tylko brakło. Pisma tak dobrze prowadzone jak *Dziennik Warszawski* lub *Pamiętnik* Brodzińskiego upadały dla braku prenumeratorów. Pierwsze z nich miało tylko dziewięćdziesiąt egzemplarzy płatnych. Na podstawie prac Estreichera (*Bibl. Pols.*) Sobieszczańskiego (*Enc. Orgelbr.* „Czasopisma“) Jochera (*Obraz*, I) zbiorowa liczba czasopism nie specyalnych, lecz ogólnie-literackich i naukowych, które wychodziły pomiędzy rokiem 1815—1830 ustanowić się da na 101. (*Przyp. Red.*)

(*) *Marya* wyszła w trzy lata po wydaniu przez Mickiewicza w Wilnie u J. Zawadzkiego dwóch tomików poezyj, które wtedy ogromnej narobiły wrzawy swoją romantycznością. Żywego zajęcia, jakie budziły te poezye, dowodzą krytyki we współczesnych pismach peryodycznych, zamieszczane w ciągu kilku lat od czasu wydania. W dwóch tomikach mieściły się, prócz ballad i romansów: *Grażyna*, oraz II i IV część *Dziadów*, w których romantyczność w najściślejszem ówczesnem znaczeniu doskonały swój wyraz znalazła. Na cztery lata dopiero przed *Maryą* ukazał się był *Wiesław* Brodzińskiego.

(*Przyp. Red.*).

NOWINY PARYZKIE.

Wystawa powszechna

II.

Paryż d. 15 Września 1878 r.

Wychodząc z wystawy polskiej i zstępując z wysokich a niepięknych krużganków Trocadero, wstąpmy po drodze, idąc na Pole Marsowe, do dziwnych a tak mało jeszcze znanych krajów Syamu i Anamu. Położone na ostatecznych, wschodnio-południowych krańcach Azyi, pokryte napływem cywilizacyi chińskiej, zachowały one przecież, pod tą ciężką i grubą skorupą obcej im lawy, ślady i pamiątki dawnej, pierwotnej — jakby narodowej, własnej cywilizacyi. Pamiątki te—archaiczne pomniki jakiegoś starego, zgasłego dawno już słońca, co przyświecało bajecznemu dla nas bytowi nieznanego świata, chociaż w maleńkich i szczupłych okruszynach przyniesione do nas, budzą ciekawość i zaczepiają umysł badawczy, drażniąc tę wrodzoną chęć: przeniknięcia do głębi wszelkiej sfinxowej zagadki.

Anam—jest to ten kraj, pokryty cały bujną zielenią, drzemiących, nieprzebytych, dziewiczych lasów, wśród których olbrzymie wody olbrzymich rzek płyną nieskończonym biegiem do Indyjskiego oceanu, jakby zbytkowe i nieużyteczne drogi, dla tych populacyj w półdzikich, które żadnych ztąd prawie nie ciągną korzyści. Anam jest to ogromny półwysep, którego maleńką cząstkę stanowią Kochinchiny, dziś należące do Francyi. Powoli, pod wpływem sąsiedztwa francuzkiego zarządu tej kolonii, pod wpływem szczególniej francuzkich, odważnych i niezmordowanych, missyonarzy, słabe promienie światła zaczynają przenikać tę głęboką mgłę wiekowego zastoju barbarzyństwa, w którą zatonęła dawna cywilizacya i dawny porządek tych krajów. Jakie będą następstwa tego zetknięcia? trudno jest powiedzieć dzisiaj. Czy te drobne promienie rozproszą kiedy mgły odwieczne? Czy same zgasną wśród tej ciemnoty? Pokaże to przyszłość!

Tymczasem wejdźmy do tego kiosku, dziwnej formy, dziwnych kształtów i jaskrawej barwy, i powitajmy przy wejściu tego mandaryna, o szczupłej, suchej budowie ciała, jakby szkielet ludzki, obciągnięty żółtą, pomarańczową skórą, pod którą każdy staw tych kości policzyć można. Jest to generalny kommissarz Anamitów. Strój i obuwie chińskiego pokroju; w ubraniu całem odznacza się jedynie zawój z czarnej krepy, który noszą bezwyjątku wszyscy Anamici. Co w nich uderza szczególnie, to ten szczupły, jakby skarłowaciały rozmiar postaci. Włos rzadki— tak rzadki, że możnaby go łatwo na wąsach i brodzie policzyć, siwy zupełnie, u wielkiego mandaryna zdaje się być zastawionym jakby przez zapomnienie. W ręku pan kommissarz trzyma dość długą pałkę, z drzewa zwanego „żelaznem,“ wysadzaną w dziwne arabeski perłową massą; jest to znak dostojeństwa tego urzędnika. Ambassador Anamu, który jest zarazem swojakiem cesarza, zamiast la-

ski, dzierży w swych ręku ów-to rodzaj berła, wyrobionego z drzewa i słoniowej kości, które ma podobieństwo do szyjki od skrzypców.

Drugą rzeczą, niemile bijącą w oczy, jest czarność zupełna zębów. Zawdzięczają ją Anamici nieumiarkowanemu używaniu betelu, który przeżuwają ciągle—jak my cukierki albo niegdyś Leslowskie karmelki. Jest to moda powszechna — i oznaka takiej dystynkcyi w Tonkinie, stolicy Anamitów, to przeżuwanie betelu, jak u nas rozchrystane kołnierze *des gommeux*, albo długie ogony obcisłych sukien u kobiet. Betel otrzymuje się zapomocą mieszaniny złożonej z wapna, pieprzowych liści i gałki aryki, rodzaj muszkatelowej gałki, tylko nierównie mocniejszego smaku.

Pierwszy-to raz Anamici występują na rynku europejskiego przemysłu, — i to dzięki wpływowi missyonarzy francuzkich, których usiłowania sprowadziły rok temu zaledwie tę zmianę, iż główniejsze porty i niektóre miasta nad brzegiem morza otwarte zostały dla handlowych okrętów. Najgłówniejszym okazem Anamitów są rozmaite przedmioty meblowe: stoliki, stołki, skrzynki, pudełka, pudełeczka i t. d., z owego-to żelaznego drzewa, tak zwanego zapewne z powodu niezmiernej twardości, wysadzane perłową macicą. Nie są to wcale okazy, ani bardzo piękne, ani bardzo wykwintne codo swej formy, ale oryginalne i ciekawe.

Okazy surowego jedwabiu, wielkiego blasku i mocy; jedwabne materye, bardziej oryginalne niż piękne; marmurowe czasze i ozdoby ze złota: dopełniają szczupłej liczby okazów rękodzielnego przemysłu Anamitów. Pomiędzy wyrobami ze złota odznaczają się pierścienie, nietyle pięknością formy i ozdób, ile tem, iż są opatrzone pewnym rodzajem tajemniczej kryjówki, której zamek, chociaż w tak drobnych rozmiarach, jest również skomplikowany, jak nasze zamki bezpieczeństwa. Rzecz dziwna: służy to do przechowania trucizny!

Słynne gniazda jaskółcze figurują tu w wielkich szklanych słojach, jako produkt spożywczy. Oko bowiem tego rarytnego specyału kosztuje na miejscu pięćset franków. Wygląda to nakształt długich włókien ruskiej wizigi, albo długiego cienkiego makaronu włoskiego. Przyrządzone, zamienia się na coś zbliżonego do gęstej *tapioki* i ma smak *sui generis*, do którego przecież potrzeba się przyzwyczaić, aby w spożywaniu mieć przyjemność. Drugim specyałem poszukiwanym w Anamie jest pewien rodzaj kleju, który się otrzymuje z jakiegoś wyłącznego gatunku fasoli czy bobu. Niedziw więc, że Anamici, żyjąc kleikami, wyglądają tak mizernie.

Skończymy ten przegląd wspomnieniem o anamickim orderze. Jest to niewielki medal, z kwadratowym pośrodku otworem, przez który przeciągnięty jest jedwabny piękny sznureczek, zgałeczką pięknej szmuklerskiej roboty na końcu. Order ten ma trzy stopnie: kawalerski, oficerski i komandorski; stopnie te oznaczają się metalem: pierwszy jest z miedzi, drugi ze srebra a trzeci ze złota; jest to zarazem order i jakby *memento mori*, bo, przeciągnięty w pośrodku sznurek, staje się w danym razie stryczkiem—kiedy kawaler orderu odbiera rozkaz przejścia *ad patres!* Nie jest to może, rzecz tak głupia, jak-by się to zdawać mogło, a zastosowana w Europie, poskromiłaby może, tę niepowściągnioną chęć dekoracyj i orderów! Musi to być, stara, bardzo stara tradycya—dobra, ale do naśladowania trudna.

Sąsiadów ich Siamczyków, musimy szukać na Polu Marsowem. Najwyższowładzca bowiem tego kraju, który już w 1867 r. figurował na Wystawie powszechnej, i dziś znakomite okazy przesłał na konkurs publiczny. Tutaj wchodzimy w sferę, jakby złudzenia i czarów. Siam, którego dziwna i wyjątkowa na krańcach Wschodu cywilizacya, jest prawdopodobnie ostatkiem wpływu dawnego Egiptu, przedstawia niesłychaną mieszaninę starożytnych tradycyj, i świeżego zapożyczania się u całego świata, niewyłączając i Europejczyków. Tytuł, jaki nosi samowładny pan Siamu, jest prawdopodobnie zabytkiem egipskim. Dziś panujący zowie się: Somdecz-Fra-Paramandra-Maha-Szulalon-Korn. Wyraz: „Fra“ a raczej „Phra“ oznaczający jego dostojeństwo przypomina nam egipski „Phra“—Pharao—Faraon. Dzisiejszy Somdecz zamiłowany jest w europejskich zwyczajach i strojach, i zwykle nosi się zfrancuzka, z dziwnemi odmianami, zastosowanemi do okoliczności miejscowych i klimatu. Urzędowy przecież i narodowy strój—niezmiernie bogaty, figuruje na Wystawie powszechnej, w odrębnej szafie, i świadczy o bogactwie, jeżeli nie kraju, to przynajmniej panującego. Jak w starym bywało Egipcie, tak i na dworze Somdecza przed obliczem władzcy, wszystko pada na twarz, czołga się raczkiem; nikomu nie wolno jest ani stać, ani siedzieć w jego przytomności. Kraj ten, chociaż się trzyma nauki Buddy, wierzy przecież w dawną egipską tradycyę o przechodzeniu dusz, ztąd cześć ogólna dla zwierząt, pomiędzy któremi *słoń biały* pierwsze zajmuje miejsce. Samo przez się, zwierzę tego koloru jest rzadkością prawdziwą; skoro więc spostrzeżonem zostanie w lasach, sprawia to niezmierne wrażenie w kraju. Mandaryni w świątecznych strojach i tłum ludzi różnego rodzaju, z muzyką i chorągwiami, ruszają na wskazane miejsce, na *upatrzonego*, jak się to mówi u naszych myśliwych. Pomimo tak świetnego przyjęcia, słoń niezawsze przyjmuje to łaskawie, i nieraz z próżnemi rękoma dygnitarze wracają do domu. Lecz jeśli potrafią go otoczyć i schwytać, to wprowadzają go z największym tryumfem do stolicy państwa, do przeznaczonego dlań pałacu, gdzie żyje odtąd otoczony największem i najtkliwszem staraniem. Były takie słonie, którym monarchowie posyłali nawet złote imbryki!

Trzeba wiedzieć, że dotąd jeszcze w Siamie imbryk uważa się za pewien rodzaj honorowej nagrody; im bogatsze są jego zewnętrzne ozdoby a są niezmiernie wykwintnej roboty codo rzeźby nabijanej złotem i srebrem, tem wyższy jest stopień nagrody, jak się to u nas z orderami dzieje. Powiadają, że z cudzoziemców jeden tylko p. Rouher we Francyi dostał imbryk w r. 1867.

Zbiór okazów Siamskich na wystawie składa się z rozmaitych pięknych i drogich przedmiotów. Są tam sprzęty, których forma zadziwia swoją oryginalnością a zarazem wdziękiem. Ma to niejakie podobieństwo do mebli chińskich, ale jest nierównie lżejsze i bardziej wyszukane pod względem rozmiarów i kształtów. Przedmioty ozdobione złotem i perłową macicą są niezmiernego przepychu i bogactwa. Materye jedwabne przechodzą wspaniałością nawet japońskie niekiedy wyroby. Nakoniec drobne cacka, ozdoby, przedmioty służące do użytku niewiast bogatej klassy, przesiąkłe są jakąś niezmiernie delikatną i egzotyczną wonią, z niczem nieporównaną.

Instrumenta muzyczne, okazy najdziwaczniejszych bandur i piszczałek, zasługują na uwagę ze względu na swoją bogatą ornamentacyę i kształty. Długie i płaskie, jakby wielkie łyżwy, bandury o dwóch lub trzech strunach, wydają jedynie głuche i skrzypiące dźwięki. Trudno jest nam zrozumieć jakiego rodzaju może być harmonia otrzymywana za pomocą tego rodzaju instrumentów i jakie dźwięki może wydać ten dziwny Klągnąg, te Kla-ni, Tu-kaj, Ran-nan i t. d. Powiadają nam przecież, że Siamczycy umieją wydobywać z tych dziwnych instrumentów bardzo tkliwe i słodkie dźwięki, i że w muzyce ich pełno jest niezmiernie wdzięcznych motywów naprzemian wesołych lub smutnych, wcale niepodobnych do owych jednostajnych i nudnych śpiewów całego prawie Wschodu.

Okazy zbroi i broni zdają się dowodzić, że usposobienia Siamczyków muszą być arcy-spokojne. Okazy te nie zalecają się wcale ani pięknością wyrobu, ani doskonałością samejże broni. Rzeczywiście wojsko jest nieliczne i ogranicza się jedynie do straży miejskiej i załóg kilku słabych forteczek. Gwardya panującego składa się ze sławnego oddziału amazonek, który występuje jedynie w czasie wielkich uroczystości i obchodów. Marynarka za to ma więcej daleko znaczenia i stosunkowo jest w stanie kwitnącym. Składa się ona z dwudziestu okrętów, zbudowanych według systematu europejskiego, i ze dwudziestu statków parowych, uzbrojonych armatami. Do tego dodać należy flotyllę złożoną z uzbrojonych łodzi, a której liczba przenosi pięćset. Na wystawie mamy tylko piękny i dobrze wykonany model łodzi królewskiej — cały okryty złotem i rzeźbą, smagły, szykowny i mający pozór doskonałego statku do szybkiego biegu. W kraju nad brzegiem Oceanu leżącym i przerzniętym wielkiemi rzekami, nic dziwnego, że element marynarki przoduje sile zbrojnej. Oryginał owego modelu ma 120 stóp długości i potrzebuje 100 wioślarzy.

Widzimy tu jeszcze wygodne palankiny, wybite matami misternej roboty, ciekawe przyrządy rybackie i mnóstwo innych przedmiotów; nakoniec—fotografie zdumiewających ruin Ong-Koru. Ruiny te, wielkiej starożytności, zadziwiają swoim ogromem i wspaniałością w gruzach leżących gmachów. Ile-to potrzeba było wieków, aby cywilizacya i bogactwo tego narodu dźwignęły tak olbrzymie budowy i ileż ubiegło czasu odkąd gmachy te poszły w ruinę, opuszczone od ludzi—dlaczego? Dziś zostały tylko odłamy i przyczepione do nich dziwne legendy.

Jedna z tych legend opiewa, że ostatni król Ong-Koru, Biua Siwizili-Wong, był trędowaty, i aby otrzymać uzdrowienie, wzniósł tę olbrzymią świątynię w Ong-Korze. Bóg go wysłuchał i zesłał mu mądrego Bramina, który się podjął wyleczenia. Środek lekarski zależał na tem, aby się chory zanurzył we wrzącej wodzie. Tak energiczny specyfik zmitrężył nieco króla: przystał w końcu z warunkiem, że próba się wprzód odbędzie na samym lekarzu, który ręczył za niewinność środka i wszelkie bezpieczeństwo życia. Bramin przyjął wyzwanie z warunkiem, że król każe go posypać natychmiast proszkiem, który też doręczył J. K. M.

Bramin bez najmniejszego wahania rzucił się do kotła wrzącej wody, ale król, zapominając o swojej obietnicy, a zazdroszcząc nadprzyrodzonej władzy, którą posiadał Bramin, nietylko nie rzucił nań proszku wskazanego, ale jeszcze kazał wrzucić do rzeki, i kocioł, i to, co w niem było. Tak czarna niewdzięczność znalazła swą karę niezwłoczną. Budda, karząc występek króla—spalił świątynię i miasto.

Y

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: Kłamcy.

TREŚĆ. Nauka i wychowanie dziewcząt, przez Maryę Ilnicką. — Czas i pieśń, (poezya), przekład ze Swinburne'a, Adama Pługa. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Vanina Ornano, dramat, (dokończenie), przez J. K. S. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów), dokończenie. Antoni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dalszy ciąg), przez Wł. Chodzkiewicza. — Nowiny paryzkie.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Сентября 1878 года.